

Jacek Warchala

Byłem uczniem profesora : wspomnienie o profesorze Władysławie Lubasiu

Socjolingwistyka 28, 21-27

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**BYŁEM UCZNIEM PROFESORA.
WSPOMNIENIE O PROFESORZE WŁADYSŁAWIE LUBASIU**

To nie będzie szczegółowe omówienie zasług i prac prof. Władysława Lubasia. Nie zajmę się tu wszystkimi dziedzinami językoznawstwa, którym poświęcił się Profesor, nie omówię nawet w części jego ogromnego, liczącego niespełna 740 pozycji (książki i artykuły), dorobku. Wspomnę tylko o dwóch dziedzinach, socjolingwistyce i polityce językowej, dla mnie w jego dorobku najważniejszych. Chciałbym bowiem podzielić się jedynie kilkoma subiektywnymi refleksjami, wspomnieniami, może nazbyt chaotycznymi, o człowieku, który wprowadził mnie do językoznawstwa i w jakiejś mierze ukształtował mój sposób myślenia o języku. Będzie to skromna próba oddania długu, który u Profesora zaciągnąłem.

Zacznijmy od początku. Wraz z nastaniem lat 70. poprzedniego stulecia rozpoczął się bardzo dobry okres dla młodego naówczas, niespełna dwuletniego Uniwersytetu Śląskiego. Był to czas intensywnego rozwoju, napływania nowej, młodej kadry naukowej, budowania i rozbudowywania miasteczek akademickich, pojawiania się nowych kierunków i wydziałów, ale przede wszystkim tworzenia się środowiska naukowego. Dawna filia Uniwersytetu Jagiellońskiego szybko stawała się uniwersytetem, z reprezentatywnymi wydziałami, rozbudowywanymi i zasilanymi kadrą uniwersytecką z niedawnej filii, Wyższej Szkoły Pedagogicznej, i największych polskich ośrodków akademickich. Zwykle młody ośrodek naukowy przyciąga otwierającymi się nowymi perspektywami, a uniwersytet w Katowicach był przecież dodatkowo „oczkiem w głowie” ówczesnych władz. Czuło się także, że jest on bardzo potrzebny ogromnej, rodzącej się konurbacji śląskiej, z dynamicznie rozwijającym się przemysłem, przyciągającym ludzi, obiecującym dobre zarobki i niezłe warunki mieszkaniowe w powstających nowych osiedlach. To okres dynamicznego rozwoju nie tylko przemysłowego, ale też okres rozwoju kulturalnego i intelektualnego całego regionu śląskiego i zagłębiowskiego. Ten region potrzebował ośrodka uniwersyteckiego z prawdziwego zdarzenia, takiego, który mógłby przyjąć młodzież, umykającą do ośrodków uniwersyteckich we Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie; ale także takiego, który stanie się po prostu ośrodkiem intelektualnym Górnego Śląska, w jakimś stopniu obalając stereotyp robotniczej tradycji i robotniczej mentalności Ślązaków. Czuło się wreszcie, że region potrafi przyjąć i zaakceptować uniwersytet jako wartość i potrafi zapewnić mu właściwe warunki rozwoju.

Polonistyka na Śląsku miała swoje akademickie tradycje, już bowiem w latach sześćdziesiątych działał w ramach Wyższej Szkoły Pedagogicznej Zakład Języka Polskiego,

kierowany przez (wówczas) doc. Irenę Bajerową; a pracowali tu m.in. językoznawcy: Walery i Krystyna Pisarkowie, Alina Kowalska, Aniela Przybycin. W nowym już (od 1968 roku) uniwersytecie Zakład Języka Polskiego wszedł w skład Instytutu Filologii Polskiej, którym kierował prof. Jan Kazimierz Zaremba, literaturoznawca i historyk literatury.

W 1970 roku pracownikiem Instytutu zostaje doktor Władysław Lubaś, a po uzyskaniu habilitacji w 1971 roku otrzymuje stanowisko docenta i propozycję objęcia funkcji dziekana nowo tworzonego Wydziału Filologicznego, a także dyrektora nowego już Instytutu Filologii Polskiej. Jak sam później będzie wspominać, wiązało się to z obowiązkiem zorganizowania wydziału, zwłaszcza że jego siedzibą stał się na długi czas Sosnowiec, nie Katowice, oraz pozyskania kadry naukowej. Kilka czynników wpłynęło na to, że przedsięwzięcie nie utknęło, że się rozwijało i to w tempie znakomitym. Była tak wówczas potrzebna przychylność władz państwowych i regionalnych dla całego projektu, była atmosfera rozwoju i pewnego entuzjazmu we władzach rektorskich, ale nade wszystko sam kierujący nowym wydziałem dziekan ujawnił się jako znakomity organizator. Ale to nie wszystko — w tych czasach trzeba było jeszcze mieć zaplecze polityczne i — jak się wtedy mówiło — ideowe oraz silną pozycję naukową, aby sprostać temu zadaniu. I tym wszystkim właśnie był obdarzony docent, później profesor Władysław Lubaś. Zaufanie władz i znaczna swoboda, którą otrzymał, pozwoliła mu na realizowanie własnej koncepcji wydziału obejmującego polonistykę i filologie obce; powstały wówczas takie kierunki, jak: anglistyka, filologia rosyjska, germańska, romańska, czeska, bułgarska, serbsko-chorwacka i słoweńska. Z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przybył prof. Kazimierz Polański, lingwista już wtedy o światowej sławie, który przejął pieczę nad neofilologiami. Na wydziale rozpoczęli pracę: Stanisław Karolak, Włodzimierz Pianka, Albert Bartoszewicz, Marian Jurkowski, Janusz Arabski, Piotr Kakietek, Gabriela i Stanisław Porębowie, Halina Janaszek-Ivaničková, Andrzej Maria Lewicki, także Tadeusz Bujnicki, Ireneusz Opacki, Witold Nawrocki, Włodzimierz Wójcik, Zbigniew Jerzy Nowak, Renarda Ociczek, filmoznawczyni Alicja Helman oraz najmłodszy pracownicy tuż przed lub tuż po doktoratach: Jan Malicki, Jerzy Bralczyk, Tadeusz Sławek, późniejszy rektor UŚ, Wojciech Kalaga, Krzysztof Kłosiński, Stanisław Gawliński, Stanisław Gębała oraz nieodżałowany, przedwcześnie zmarły Wojciech Wyskiel, także filmoznawcy: Tadeusz Lubelski, Łukasz Plesnar i Wiesław Godzic. Trudno tu wymienić wszystkich. Tworzyło się znakomite środowisko naukowe językoznawców, literaturoznawców, filmoznawców, teatrologów i kulturoznawców.

Kiedy w 1973 roku rozpocząłem studia, pamiętam nieokrępe jeszcze środowisko i to, czego już chyba nigdy później nie przeżyłem w takim stopniu — entuzjazm młodości, jakieś poczucie wspólnoty i więzi intelektualnej tworzące się między młodymi asystentami i studentami; patronowali temu już znani i dla nas, maluczkich, wielu profesorowie (choć wtedy jeszcze chyba docenci?): Lubaś, Opacki, Bajerowa, Helmanowa czy Bujnicki; znacznie później, już kiedy byłem młodym asystentem, doszedł do tej grupy autorytetów i moich nauczycieli także Aleksander Wilkoń.

Wymieniając nazwiska, budzę wspomnienia, ale także chcę dobitnie powiedzieć o wyjątkowości tego fenomenu, jakim była wówczas polonistyka sosnowiecka (przypomnijmy — wówczas Wydział Filologiczny mieścił się jeszcze w Sosnowcu, przy ulicy, no cóż: Bolesława Bieruta — takie były czasy), o atmosferze i specyficznym klimacie jej towarzyszącym i wyrazić przekonanie, że ogromną zasługę w powstaniu takiego fascynującego środowiska naukowego, żywego, nowoczesnego, aktywnego, miał Władysław Lubaś. Oczywiście nie on sam i nie on jeden, ale On był wtedy szefem i kimś, kogo chętnie nazywamy *spiritus movens*.

Nie od razu miałem sposobność zetknąć się z Profesorem. Pamiętam tylko krótkie migawki: jakaś delegacja studencka do dziekana z petycją czy prośbą o coś, czego już nie pomnę; pamiętam zajęcia konwersatoryjne z gramatyki historycznej nagle przerwane hospitacją Profesora, która zelektryzowała wszystkich studentów, ale najbardziej prowadzącą młodą asystentkę; Profesor posłuchał chwilkę, wziął krede, wyjaśnił jakąś zawiłą rekonstrukcję i wyszedł — nie wiem już teraz, kto bardziej to przeżył, gromadka studentów czy prowadząca, która do końca zajęć nie mogła opanować drżenia rąk. Pamiętam też, że starszy rocznik przestrzegał nas, aby nie wchodzić do sali, gdy Profesor jest już na wykładzie. Rzeczywiście, nie lubił, gdy mu przerywano i reagował bardzo ostro, przyzwyczajony zapewne do absolutnej ciszy i pełnego skupienia. Bo też przedmiot był trudny i wymagający skupienia — wykład z gramatyki historycznej, który opuścić decydowali się tylko najodważniejsi. Chodziliśmy na wykład do Profesora nie tylko ze strachu przed bodaj najtrudniejszym egzaminem na polonistycę, ale i dlatego, że po prostu lubiliśmy tam chodzić. Bo Profesor był postrzegany przez nas jako srogi egzaminator, ale też jako świetny wykładowca. To nie był orator, jak prof. Ireneusz Opacki, ale miał ten cudowny dar wykładania jasno rzeczy trudnych i skomplikowanych. To była przyjemność, nawet dla mnie, jeszcze wówczas zdeklarowanego „literata”, zajmującego się Bolesławem Leśmianem, a nie rozwojem jerów. A jednak odczuwałem pewien rodzaj satysfakcji, że zaczynam pewne sprawy rozumieć i że to zaczyna mnie wciągać. Może wówczas gdzieś kiełkowało, dzięki jasnym i ciekawym wykładom, językoznawcze ziarenko, z którego wyrosła wątła roślinka późniejszego wyznawcy socjolingwistyki. Wątła, bo egzamin u Profesora bynajmniej nie potwierdził mających wkrótce nadejść fascynacji. Niestety, ja byłem elokwentny, ale moja wiedza z gramatyki historycznej nie dorównała elokwencji, a na dodatek Profesor na egzaminie był do bólu konkretny i zasadniczy; żadne próby zagadania nie miały szans powodzenia. Wyszedłem z oceną dostateczną, co i tak było niemałym sukcesem, zważywszy, że ogromna rzesza moich kolegów egzamin oblała. Później ta ocena przyprawiła mnie o migrenę, gdy rozmawiałem jako świeżo upieczony absolwent o mojej pracy na uczelni właśnie z prof. Lubasiem. Dobrze, że nie pamiętał studenta, który u niego niestety się nie popisał.

Czuliśmy respekt wobec Profesora, ale też żywiliśmy do niego szacunek za to, że po prostu lubił studentów. Nie pamiętam, abyśmy nie załatwili z nim jakiejś ważnej dla nas sprawy.

Myśle o sobie jako uczniu Profesora, ale ten rodzaj więzi między uczniem a mistrzem powstał dopiero, gdy zacząłem pracę na Uniwersytecie Śląskim. Najpierw były to godziny zlecone, zaraz potem etat techniczny — no cóż, uniwersytety zawsze miały kłopoty etatowe. Ja w zasadzie nie myślałem o pracy pod kierunkiem prof. Lubasia, myślałem raczej o zakładzie literackim, ale mój ówczesny promotor pracy magisterskiej nie dysponował etatem i polecił mnie samemu szefowi polonistyki. Poszedłem na rozmowę, sądząc, że gdzieś się przechowam — zastanawiałem się nad etatem w bibliotece uniwersyteckiej. Profesor po krótkiej wymianie zdań, on zawsze rozmawiał krótko i treściwie, stwierdził, że pewnie wolałbym pracować naukowo i zawieszając głos na chwilę, aby zobaczyć, jak zareaguję, zaproponował mi miejsce w swojej pracowni socjolingwistycznej. Nie ukrywam — to było wyzwanie. Rozpocząłem, zgodnie z moimi zainteresowaniami, od porównania słowiańskich przekładów Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza*. Praca została oceniona dobrze, a ja zacząłem uczestniczyć w zebraniach i wyjazdowych sesjach uniwersyteckiej grupy socjolingwistycznej. W ten sposób stałem się obserwatorem i uczestnikiem tworzącego się wokół Profesora środowiska młodych katowickich socjolingwistów. Potrafił nas tą socjolingwistyką zarazić, wpajając przekonanie, że o języku można i należy myśleć w kategoriach społecznych. Z socjolingwistyką zetknął się Profesor jeszcze przed przyjściem na Uniwersytet Śląski, a swój pierwszy artykuł sygnalizujący problemy społecznego uwarunkowania języka opublikował w Roczniku PTJ w 1972 roku, a była to wersja referatu wygłoszonego na 30. Zjeździe PTJ. Sądzę, że był to pierwszy doniosły głos w Polsce w sprawie przedmiotu badań socjolingwistycznych. W tym sensie można uznać go za prekursorski, gdy idzie o nową dziedzinę. Rozwój jego zainteresowań w kierunku socjolingwistyki rozpoczął się jednak dopiero na Śląsku. Tutaj znalazł się znakomity materiał badawczy, swoisty tygiel językowy wynikły z procesów migracji i industrializacji, ale przede wszystkim grono młodych, zafascynowanych nowoczesnym językoznawstwem badaczy — wszyscy w zasadzie byli (lub stali się) jego uczniami: Aldona Furgalska (Skudrzyk), Małgorzata Kita, Urszula Kriger, Renarda Lebda, Elżbieta Gawęda, Jacek Warchała, Romualda Piętkowa, Urszula Żydek-Bednarczuk, później także Jolanta Tambor i Bernadetta Niesporek-Szamburska.

Przypomnę, że triumfy święciło wówczas językoznawstwo autonomiczne, a echa etnologii języka, językoznawstwa pragmatycznego czy właśnie socjolingwistyki dopiero przebijały się w Polsce i to bardzo nieśmiało. Przypomnę też, że czasy były trudne, a o literaturę zachodnią niełatwo. Czytaliśmy polecanych przez Profesora H.G. Meada, J.H. Turnera czy E.T. Halla, docieraliśmy do E. Goffmana, A. Schütza i interakcjonistów, pamiętam, że pierwsze prace Fishmanna czy Labova referował Profesor, a innych poznawaliśmy często jeszcze z drugiej ręki. Czytaliśmy jednak namiętnie polskie prace socjologiczne: A. Kłoskowskiej, Z. Bokszańskiego, A. Piotrowskiego i M. Ziółkowskiego, J. Szmataki, ale także nowatorską wówczas książkę K. Pisarkowej *Składnia rozmowy telefonicznej*. Zainteresowania nasze koncentrowały się na języku potocznym i jego mówionej odmianie. Profesor zdobył wówczas dla Instytutu magnetofony kase-

towe dobrej jakości i pierwszy magnetowid, dzięki któremu mogliśmy myśleć o badaniach łączących obraz ze słowem. Był to okres wyjazdów na badania terenowe, gdzie zbieraliśmy pod kierunkiem Profesora właśnie materiał nie tylko dialektologiczny, ale przede wszystkim materiał do badań nad językiem potocznym. Pracowaliśmy także zespołowo nad trzynomowym wydaniem *Tekstów mówionych miast Górnego Śląska i Zagłębia*, zbiorem tekstów mówionych konurbacji śląsko-zagłębiowskiej. Był to pierwszy w Polsce projekt na taką skalę. Zbierał teksty mówione i określał stan języka mówionego drugiej połowy XX wieku. Projekt okazał się ciekawy ze względu na społeczne i demograficzne czynniki, które wówczas istniały na silnie rozwijającym się i przemysłowym Śląsku, ale także ciekawy z formalnego powodu: Profesor zaproponował nowy sposób notacji, tzw. uproszczoną notację fonetyczną (półfonetyczną), dzięki czemu *Teksty* mogły być i były wykorzystywane przez niefilologów — np. socjologów — zajmujących się problemami Śląska i Zagłębia. Zetknięcie się teoretyczne i praktyczne z żywą mową, konieczność jej odsłuchania i zapisania, uświadomiło nam różnicę strukturalną między językiem pisanim a mówionym, otwarły się przed nami nowe perspektywy badawcze, przede wszystkim nad językiem potocznym jako względnie (powtarzam: względnie) niezależnym subsystemem polszczyzny, dialogiem potocznym (rozmową) i składnią potoczną. Wokół *Tekstów* powstawały artykuły, a później prace doktorskie, a nawet habilitacyjne, wszystkie pod patronatem prof. Władysława Lubasia. On też swoimi pracami teoretycznymi wyznaczał pewne kierunki penetracji badawczej; myślę tu o jego wczesnej książce *Spoleczne uwarunkowania współczesnej polszczyzny. Szkice socjolingwistyczne* (Kraków 1979), gdzie ugruntował społeczną koncepcję typów kontaktów jako lingwistyczną teorię zróżnicowania sytuacyjnego języka; koncepcja ta okazała się dla nas niezwykle płodna teoretycznie, choć jak przystało na uczniów Profesora, niepokornie później ją skrytykowaliśmy (por.: A. Skudrzyk, J. Warchala, „*Pani doktor, jak się wyrobię, to wpadnę*” — *błąd czy nowa norma zachowań językowych*, [w:] *Język w przestrzeni społecznej*, Opole 2002 — książka poświęcona prof. W. Lubasiowi). Do takich diskutowanych przez nas i omawianych prac W. Lubasia należały jego dwa wczesne artykuły: *Socjolingwistyka jako metoda badawcza* (Socjolingwistyka nr 2, 1979), przełomowy naówczas artykuł wyznaczający zasadniczo sposób myślenia o socjolingwistyce jako metodzie analizy języka, oraz *Istota potoczności* (ukazał się w Biuletynie PTJ z 1986). Zwłaszcza ten pierwszy jest bardzo istotny ze względów merytorycznych, ale i przez wzgląd na to, gdzie się ukazał — był to programowy by tak rzec tekst z drugiego już wtedy numeru pisma, które do końca swoich dni wydawał Profesor, czyli z *Socjolingwistyki*. Zaczęła ona swój żywot, podkreślam to dobitnie, właśnie na Uniwersytecie Śląskim. Dla nas, młodych wówczas socjolingwistów, była terenem pierwszych sporów naukowych, często zresztą pierwszych publikacji w ogóle. Drugi numer *Socjolingwistyki* zapoczątkował, jak mi się wydaje, badania nad społecznymi uwarunkowaniami języka w Polsce. Co zresztą znamienne, właśnie w tym numerze opublikował (wraz z T. Skubalanką) swój tekst socjolingwistyczny Stanisław Grabias, przyjaciel Profesora i późniejszy autor jednej z najważniejszych socjolingwistycznych monografii: *Język w zachowaniach społecznych* (Lublin 1994).

W tym numerze i w dwóch bodaj następnym ukonstytuował się w zasadzie katowicki zespół socjolingwistyczny. Historia *Socjolingwistyki*, którą wymyślił, której patronował i którą redagował do śmierci Profesor, zaczęła się jednak od innego tematu, także jakoś zazębiającego się z socjolingwistyką — od polityki językowej, rozumianej przez Profesora jako przede wszystkim planowanie języka w skali narodowej. A wszystko rozpoczęło się od konferencji naukowej, zorganizowanej przez Profesora na Uniwersytecie Śląskim w 1976 roku. Jej pokłosiem był właśnie tom zbiorowy pod wspólnym szyldem: *Socjolingwistyka. Polityka językowa*. Konferencja zgromadziła wielu znanych i ważnych językoznawców, dziennikarzy, a nawet aktorów; choć ja pamiętam, że brać studencka, tłumnie obecna na obradach, zgromadziła się tu przede wszystkim dla Jacka Federowicza, który był już wtedy znanym aktorem i „komentatorem” języka. Gospodarzem wprowadzającym merytorycznie do tematu był oczywiście prof. Lubaś. Mówiło się wtedy o koślawieniu języka oficjalnego, o wpływie języka urzędowego na język polski, postulowano zmiany i konieczność ochrony języka jako dobra narodowego. Jeszcze wówczas nie mówiono tak otwarcie o języku władzy, o nowomowie, propagandzie i manipulacji. Te czasy przyjdą później, wraz z przełomem lat 1980/1981, choć zanim przełom taki nastąpił, w *Socjolingwistyce* ukazał się artykuł Jerzego Bralczyka o polskim słownictwie politycznym (numer wydany na początku 1980).

Politykę językową rozumiał Profesor jako osobny dział politologii, a w zasadzie komunikacji społecznej, jako organizację sposobu funkcjonowania języka. Poświęcił jej późną (2009), ogromną monografię pod tytułem *Polityka językowa*, traktującą o przemianach politycznych, społecznych i demograficznych w krajach dawnego bloku sowieckiego i o kierunkach transformacji, które miały wpływ na język, jego projekcję i normowanie. Praca jest ciągle „świeża” i pewnie stanie się podstawową lekturą dla tych, którzy interesują się zagadnieniami polityki językowej.

Ja sam uświadamiam sobie w tym momencie, że to kolejny przecież temat, który podjąłem sam z inspiracji, już nie tak bezpośrednich, Profesora. I tu, pisząc własne artykuły na temat planowania i promowania języka polskiego w Unii Europejskiej, redagując tom zbiorowy *Polska polityka językowa w Unii Europejskiej* (razem z D. Krzyżyk, Katowice 2008), jestem uczniem i w jakimś sensie spadkobiercą pewnego sposobu myślenia, który zapoczątkował Władysław Lubaś. On sam w dedykacji na ofiarowanym mi egzemplarzu autorskim *Polityki językowej* „pasował mnie” na specjalistę w tej dziedzinie. Hmm, do dziś nie wiem, co miał Profesor na myśli?

Ale polityka, już ta twarda, miażdżąca i zmieniająca świat i Polskę, była też dla Profesora źródłem rozczarowania, może największego w jego życiu, i źródłem zmian, które wytrąciły go z przyjaznego katowickiego środowiska socjolingwistycznego; doprowadziły także w rezultacie do zatrzymania niektórych badań i do zmiany profilu uprawianej w Katowicach socjolingwistyki, w kierunku pewnych form krytycznej analizy dyskursu.

Jeśli zatem czuję się jednym z uczniów Profesora i w jakimś zakresie kontynuatorem jego sposobu myślenia o języku, a jest nas ciągle spore grono na Uniwersytecie

Śląskim, to nie dzięki dedykacji, nawet najbardziej grzecznej i „na wyrost”, a dzięki długoletniej współpracy, bezpośredniej i pośredniej. Profesor był promotorem mojej pracy doktorskiej na temat dialogu potocznego (*Dialog potoczny a tekst*, Katowice 1991) i duchowym patronem pracy habilitacyjnej poświęconej kategorii potoczności (*Kategoria potoczności*, Katowice 2003). Rozprawę habilitacyjną przedstawiłem Profesorowi jako koncepcję i na spotkaniu prywatnym, i na zebraniu jego pracowni.

Nad pracą doktorską sprawował pieczę, jak przystało na promotora, bardzo mocno. Jeździłem do domu Profesora i omawialiśmy krytycznie każdy napisany przeze mnie rozdział, jedząc ciasto upieczone przez jego żonę, Panią Anię; Profesor wnikał głęboko w tekst, analizował go i proponował zmiany — nie ze wszystkich jego rad skorzystałem, pewnie ze szkodą dla książki, ale też Profesor nie wymagał, abym zgadzał się z nim w każdej kwestii, nader cenił sobie samodzielność myślenia. Czułem jednak, że jestem pod dobrymi skrzydłami. To dawało mi pewność. Ale żeby obraz nie był taki sielankowy, chcę dodać, że na egzaminie doktorskim był najbardziej krytycznym egzaminatorem, zadając mi najtrudniejsze pytania i — wtedy tak myślałem — pogłębiając mnie okrutnie. Powtórzył w ten sposób „zabieg” sprzed wielu lat, gdy nasz (Furgalska, Warchala) pierwszy bodaj referat (później artykuł) najpierw pochwalił na zebraniu zakładu, po czym skrytykował na konferencji, publicznie, skłaniając nas do równie gwałtownej co niezbyt wówczas udatnej obrony. Taki był Profesor. Wymagający, nie-pobłażliwy, czasami okrutny w swojej krytyce, ale bardzo wnikliwy i otwarty na nowe idee, inspirujący, twórczy, czasami przyjacielski, czasami nawet sentymentalny, zwłaszcza gdy wspominał, tym razem swojego mistrza i nauczyciela, Witolda Taszyckiego.

Odejście Profesora Władysława Lubasia, dla nas — jego uczniów i dla mnie osobiście — jest ogromną stratą, ale także zobowiązaniem.

Jacek Warchala
Uniwersytet Śląski, Katowice